

KOSZMARY, KTÓRE ŚNIA SIĘ PO NOCACH

RYS BIOGRAFICZNY STEFANII SZANTYR-POWOLNEJ

Jak opowiedzieć o jedenastu latach pobytu w sowieckim obozie? Co dla dzisiejszego czytelnika może być w tej opowieści ważne, poruszające? Jaki do niej zastosować klucz? Decyzję podjęła nasza bohaterka. Opowiada o przeżyciach, które najgłębiej zapadły jej w pamięć, w podświadomość i nawet po ponad sześćdziesięciu latach pojawiają się czasem w snach jako straszliwe koszmary, ożywają, czy wręcz – jak relacjonuje ona sama – trwają na nowo.

Stefania Szantyr-Powolna urodziła się w Wilnie. Tam chodziła do szkoły podstawowej i gimnazjum. Kiedy we wrześniu 1939 r. wybuchła wojna, była piętnastoletnią harcerką. Miesiąc później kolega wciągnął ją do oddziałów konspiracyjnych, które wkrótce weszły w skład Związku

Walki Zbrojnej, przekształconego w początkach 1942 r. w Armię Krajową. Przez ponad pięć lat służyła w nich jako łączniczka (przewoziła broń, przeprowadzała ludzi do oddziałów partyzanckich, organizowała sieć kolportażu prasy podziemnej) i sanitariuszka (opiekowała się rannymi oraz poszukiwała kwater dla ukrywających się uczestników konspiracji). Z czasem włączyła się w organizację drużyn, a następnie plutonu sanitarno-łącznościowego, na czele którego stanęła. Za służbę w ZWZ-AK 7 grudnia 1944 r. została aresztowana przez NKGB.

„Hanka” – bo taki nosiła pseudonim – zaraz po uwięzieniu została poddana bardzo ciężkiemu śledztwu. Pierwsze przesłuchanie trwało trzydzieści kilka godzin. „Byłam bardzo bita, miałam złamany nos – opowiada. – Siedziałam w celi, która była w starym schronie w gmachu NKGB. W tym miejscu wcześniej mieściła się ubikacja. Na ścianach wciąż było widać ślady używalności tej ubikacji, a na podłodze dziury po wyrwanych sedesach”. Cella była bardzo mała – miała kilka metrów kwadratowych. Był czas, gdy musiało się w niej pomieścić ponad dwadzieścia młodych dziewcząt. „Leżałyśmy na zakładkę – wspomina – bo oczywiście nie było miejsca; prawie rozebrane, bo było duszno i gorąco”.



Fot. ze zbiorów S. Szantyr-Powolnej

Sledztwo trwało kilka miesięcy. Pod koniec marca 1945 r. odbyła się rozprawa. Przed sądem (Trybunałem Wojennym ZSRS) stanęło dwanaście kobiet. Wszystkie starały się wyglądać godnie – uczesane, w wygładzonych rękami sukienkach. Kiedy padało pytanie: „Jakie jest wasze ostatnie słowo?“, każda z nich odpowiadała, że gdyby zaistniała taka potrzeba, zrobiłyby jeszcze raz to samo – służyły ojczyźnie. Kilka dni po rozprawie kobiety zostały przewiezione do największego więzienia w Wilnie, na Łukiszkach. Cztery tygodnie później – 1 lub 3 maja 1945 r. – kilka tysięcy tamtejszych więźniów poprowadzono na dworzec. Byli to niemal sami mężczyźni. Dwudziestokilkusobowa grupa kobiet – zmęczonych, wycieńczonych, bez sił – szła na końcu. Za nimi jeszcze sfera psów, wyjących i pilnujących, by nie odstawały od kolumny. Na dworcu towarowym wszystkich więźniów załadowano do bydłych wagonów. Wcześniej wiadomość o transporcie rozeszła się po mieście. Stefania Szantyr-Powolna do dziś pamięta: „Daleko za torami widziałyśmy zebrane nasze rodziny, które jak gdyby nas odprowadzały”.

Wagony wlokły się monotennie. Któregoś dnia dziewczyny usłyszały jakieś krzyki, wiwały, strzały. Konwojent powiedział im, że skończyła się wojna. Jechały jeszcze kilka tygodni, aż dotarły do Uchty w Republice Komi. Polki zostały zaprowadzone do obozu, w którym byli mężczyźni i kobiety – sami kryminaliści. Naczelnik uprzedził, że rzeczy należy trzymać przy sobie. Próbowaly, ale i tak wkrótce zostały okradzione ze wszystkich ubrań, butów i innych rzeczy. Naczelnik ostrzegał też, by nie korzystały z używanych przez więźniarki kubków i menażek, ponieważ wszystkie te kobiety były zarażone syfilisem.

„Hanka” pracowała przy koszeniu trawy i dzikich kwiatów – nazywanych *iwanczaj* (herbata Iwana). „Piękne, wysokie, prawie naszego wzrostu. Musiałyśmy kosić je tasakami. Jednocześnie musiałyśmy kosić młode pędy brzoź, które stanowiły pokarm dla bydła, ale były zarazem dodatkiem do naszych obozowych zup. Dzienną normę tej ściętej trawy, kwiatów i brzoź ustalono każdej z nas na 200 kg i dzięki temu można było otrzymać kawałek chleba”.

Zimą kobiety skierowano do wyřębu lasu – tajgi. Żadna z nich nie miała pojęcia o takiej pracy. Najtrudniejszą czynnością było dokopanie się do pnia drzewa. Śnieg sięgał powyżej pasa, więc najpierw trzeba było ten pień odkopać – by piła mogła pracować. Za pozostawianie zbyt wysokiego pnia była kara – karcer i głódówka. Przy wyřębie często zdarzały się wypadki, zazwyczaj wówczas gdy skręcające się na pniu ścięte drzewa miażdżyły stopy. Pewnego razu padające drzewo uszkodziło kręgosłup jednej z kobiet.

W tamtym lesie zdarzyło się coś, co do dziś powraca w koszmarach: „Stanęłyśmy na chwilę, aby się wyprostować, odsapnąć. Pół metra ode mnie stała Rosjanka – piękna, młoda, kryminalistka z wieloletnim wyrokiem. W pewnym momencie podbiegła do niej druga Rosjanka i uderzyła ją siekierą w głowę. Ta głowa rozpadła się właściwie na dwie części. Było to dla mnie coś tak niepojętego, że jak odrętwiała patrzyłam, jak na jakiś film; ta rzeczywistość do mnie nie docierała, ale otrzeźwił mnie krzyk konwojenta, który nakazał zabrać nieżywą dziewczynę i odejść z tego miejsca. Muszę powiedzieć, że nie była to jakaś zemsta, czy odwet za jakieś sprawy, jakieś porachunki. Była to po prostu metoda na zmianę trybu życia, warunków. Po takim wydarzeniu sprawca był odsyłany do więzienia. Pobyt w więzieniu, ciepły kąt i kawałek zapewnionego chleba był motywacją, aby dopuścić się takiego czynu”.

Czy to jedyna taka historia? Nie. W baraku „Hanki” mieszkało 150 osób. Któregoś dnia dwie młode Rosjanki zaciągnęły starszą kobietę za parawan oddzielający część baraku od umywalk. Ta kobieta trochę sprzątała i opiekowała się barakiem w czasie, kiedy więźniarki pracowały. Te dwie zamordowały ją właśnie za tym parawanem. Ot, tak. Cel był ten sam – zmiana warunków.

Widmo śmierci zawsze było blisko. „Będąc w pracy przy wyrębie lasu w pewnym momencie usiadłyśmy na pniu drzewa, żeby odpocząć i zjeść kawałek chleba, który przyniosłyśmy ze sobą. Byłyśmy młode, któraś z nas powiedziała coś śmiesznego, wybuchłyśmy śmiechem. Przybiegł konwojent i nakazał nam natychmiast przestać się śmiać, na co jedna z nas ze śmiechem zapytała: »A co strzelać będziesz?«. Konwojent: »Będę«. Koleżanka: »No to strzelaj«. I rzeczywiście otworzył ogień. Jedną dziewczynę zranił śmiertelnie, parę było rannych. Wróciłyśmy do obozu. Konwojent otrzymał nagrodę za to, że uniemożliwił próbę ucieczki”.

Bardzo trudnym okresem były pierwsze święta Bożego Narodzenia. Kobiety chodziły smutne, zamyślane, ze łzami w oczach. „Wtedy postanowiłyśmy – relacjonuje »Hanka« – że nie będziemy płakać, rozpaczać, że będziemy silne, a przywołany obraz rodziny będzie dla nas światłem”. Na wigilijną wieczerzę kobiety przyniosły do baraku resztki z obozowego obiadu, po łyżce kaszy z kroplą oleju. „Miseczki postawiłyśmy na naszym stole. To była nasza kutia. Wyciągnęłyśmy chleb, którym podzieliłyśmy się jak opłatkiem. Zaczęłyśmy śpiewać *Wśród nocnej ciszy*. Naprawdę to jest coś niesłychanego. Poczuliśmy się tak silne, tak pełne nie tylko nadziei, ale wiary i pewności, że wrócimy do domu, do rodziny, do ojczyzny. Śpiewałyśmy jeszcze *Bóg się rodzi; Lulajże, Jezuniu; Cicha noc* i chyba wszystkie kolędy. Stawałyśmy się coraz silniejsze. Zaśpiewałyśmy piosenkę o naszym życiu, którą ułożyłam. Każdą zwrotkę śpiewało się na inną melodię. Jedna z koleżanek demonstrowała jakieś sztuczki, inne coś opowiedziały. Potem znowu śpiewałyśmy. W pewnym momencie spostrzegłyśmy, że jesteśmy otoczone współmieszkankami baraku. Wszystkie stanęły wokół stołu zafascynowane kolędami, a jednocześnie zdziwione, jak to możliwe, że w tej sytuacji my nagle czujemy się szczęśliwe. Ten wieczór trwał dosyć długo. Na koniec złożyłyśmy sobie jeszcze raz życzenia i zaczęłyśmy się przygotowywać do spania. Jeszcze nie zdążyłam wejść na prycze, kiedy do baraku weszło kilku żołnierzy. Skierowali się od razu do mnie, zrobili rewizję i znaleźli notatkę z piosenką ułożoną przeze mnie. Zabrali mnie ze sobą i skierowali do karceru”.

W karcerze było ledwie kilka stopni ciepła. Ona w jednej sukience. Przyjaciółka wyprosiła u komendanta, by przekazać „Hance” *tielogriekę* – watawaną kurtkę. Karcer był niewielką celą, w której przy zewnętrznej ścianie stała prycza zbita z kilku desek. „Hanka” położyła się na niej, ale po pewnym czasie poczuła, że włosy przymarzają jej do ściany. Zeszła z pryczy i wtuliła się w kąć sąsiadujący z korytarzem. Po pewnym czasie przysnęła. Nagle usłyszała jakiś pisk. Coś dotknęło jej stopy. Zerwała się i usiadła. W bardzo skąpym świetle sączącym się przez szparę nad drzwiami zobaczyła dziwne stworzenie wielkości kota. „To” tkwiło nie dalej niż metr od niej. Kiedy zobaczyła długi, cienki ogon zrozumiała, że to szczur. Była przerażona. Szczur był ogromny. „Siedział, wpatrywał się we mnie, widziałam jego czerwone oczka. Wpatrywał się bez ruchu, ja również nie ruszałam się, zaniemówiłam. Jednak po pewnym czasie zaczęłam do niego mówić, siedział, nie ruszał się. Zaczęłam śpiewać, a że był to wieczór wigilijny, zaczęłam śpiewać wszystkie kolędy. Szczur cały czas tkwił w pobliżu mnie”. Szantyrówna spędziła w tym karcerze dziesięć dni. Szczur stale jej towarzyszył – „Nawet przyzwyczałam się do niego”. Chował się tylko wtedy, kiedy strażnik otwierał drzwi i przynosił wodę, zupę albo chleb. Po tym znowu się pojawiał. Okruszki z chleba były dla szczura. „W ostatnich dniach nawet trochę spałam, a szczur się nie zbliżał i nawet mnie nie dotknął. Całymi dniami z nim rozmawiałam. Kiedy wróciłam do baraku i opowiadałam o tym, Rosjanki były zadziwione, gdyż w tym czasie zdarzały się przypadki, że szczury odgryzały ludziom nosy i palce”. Rzeczywiście w całym baraku, nocą, harcowały stada szczurów. Budziły przerażenie kobiet.

„Hanka” doznała urazu podczas pracy przy wyrębie lasu. Trafiała do centralnego szpitala w Wietnosianie k. Uchty. Był to duży obszar podzielony na trzy strefy. W jednej z nich

pracowali rekonwalescenci ze szpitala. Mieściły się tam różne pracownie: stolarska, krawiecka i inne. Była też duża zona mieszkalna – przede wszystkim baraki męskie, bardzo małe podstrefa dla paru baraków kobiet i bardzo obszerna, trzecia zona szpitalna, a w niej ogromny szpital, kilkanaście dużych baraków. W każdym mieścił się jakiś oddział (interna, chirurgia, psychiatria, neurologia, laboratorium, rentgen, stomatologia i oddział pomocniczy). W barakach zawsze tłoczyli się pacjenci. Do pracy w szpitalu kierowano kobiety z obozu, które pełniły w nim funkcje pielęgniarskie, były laborantkami, pomocnicami przyszpitalnymi. Szantyrówna została zatrudniona w laboratorium (naczelnny lekarz bardzo sprzyjał Polakom, inteligentom; podobnie siostra przełożona). Aby przejść z zony, gdzie mieścił się barak dla kobiet, do zony szpitalnej, należało pokonać niewielki kawałek terenu należącego do zony męskiej. Chodziła tamtędy wielokrotnie.

„Pewnego dnia idąc do pracy, do laboratorium, przechodziłam obok baraku męskiego. Trzeba »trafu«, że w tym czasie mężczyźni – przestępcy – grali w baraku w karty. Grali o życie pierwszej osoby, która przejdzie koło okien. To byłam ja. Wiadomość o tym, że zostałam przegrana w karty, dotarła do środowiska medycznego, w którym pracowałam. Dentysta, Ormianin, został o tym poinformowany przez jednego z kryminalistów – cieszył się ich zaufaniem, bo korzystali czasem z jego usług”.

O „wyroku” dowiedział się naczelnik obozu i główny lekarz szpitala. Pierwszy jednak stwierdził, że jest bezsilny wobec „zwyczajowego prawa” przestępców. Jest tak silne, że wcześniej czy później wyrok dosięga każdego, na kogo padł. Główny lekarz nie pozwolił „Hance” wychodzić poza obręb szpitalny, ale to i tak nie gwarantowało jej bezpieczeństwa. „Choć nie do końca – mówi dziś – zdawałam sobie wówczas sprawę z grożącego mi niebezpieczeństwa, to jednak bardzo się bałam. Polki były bardzo szanowane i cieszyły się dużą sympatią w tamtejszym środowisku szpitalnym. Dlatego wiadomość o wyroku na mnie bardzo wszystkich poruszyła. Wszyscy czuliśmy się bezradni wobec zaistniałej sytuacji. I stał się cud. W jednym z baraków (na internie) pracowała młoda, śliczna, urocza Estonka. Dotąd pamiętam, nazywała się Made (czyt. Madi) Tikerpu. Przesympatyczna dziewczyna, lubiliśmy się i przyjaźniłyśmy. Kiedy dotarła do niej wiadomość o wyroku na mnie, bardzo płakała, ponieważ wiedziała, że właściwie jestem w pobliżu śmierci”.

Miła Estonka była wręcz ubóstwiana przez pacjentów. Do jej wielbicieli należał też „przywódca” przestępców, leżący akurat w szpitalu. Kiedy zobaczył smutną i zapłakaną Made, zapytał, co się stało. Ta powiedziała mu o niebezpieczeństwie grożącym jej przyjaciółce. Wkrótce



Fot. ze zbiorów S. Szantyr-Powolnej

bandzior znikł ze szpitala. Zjawił się dopiero po paru dniach. Podszedł do Estonki i powiedział: „W dowód mojej wielkiej miłości do ciebie, chcę ci dać wielki prezent. Możesz powiedzieć swojej przyjaciółce, że odtąd może spać spokojnie”. Człowiek ten przez kilka dni „odgrywał” życie „Hanki” z każdym z przestępców po kolei. W ten sposób przejął „prawa do niej”.

Niedługo po tym wydarzeniu Szantyrówna została wywieziona do obozu (łagru) o srogim reżimie w Workucie. Był to już obszar zapolarny. Tam nie miała nawet swojego nazwiska, tylko przyporządkowany numer – na kurtce, na plecach, na spodniach, na czapkach. Kiedy chciała coś zameldować czy powiedzieć, najpierw musiała podać swój numer. Więzione kobiety były poniżane na każdym kroku. Szczególnym sadyzmem wobec nich wyróżniały się „konwojentki” sprawdzające zony. Należało z daleka się im kłaniać i mówić „dzień dobry” – *zdrawstwujtie*. Lubowały się w rewizjach – zbiorowych (sprawdzały baraki), jak i osobistych. Przy każdej nadarzającej się okazji zabierały uwięzionym kobietom pamiątki i listy, które udało się im przemycić do obozu.

Także i w Workucie „Hanka” trafiła do karceru. Ponownie miało to związek ze świętami Bożego Narodzenia – zrobiła z waty św. Mikołaja. Otrzymała też karę dodatkową – odtąd nie wolno jej było pisać listów.

W kręgu zapolarnym przez pół roku trwa noc, a przez kolejne pół – dzień. Lato jest bardzo krótkie, trwa zaledwie kilka tygodni. Kwitną wtedy piękne, żółte kwiaty, trochę podobne do róż. Jak dywan pokrywały moczarową, pełną trzęsawisk tundrę; miejsce bez drzew i krzewów; spomiędzy mokradeł gdzieniegdzie wystawały kępy traw. Praca kobiet polegała na „zakopywaniu” głębokiej wody, początkowo żwirem, potem, gdy udało się go przyklepać – kamieniami. Gdy już można było położyć na powierzchni tory – kamienie dowożono wagonetkami. Tak powstawały nasypy, na których układano jeszcze wytrzymałsze tory. W końcu dojeżdżały po nich nawet ogromne wagony-platformy wypełnione kamieniami. Jedną platformę musiały rozładować dwie osoby – taka była przymusowa norma dzienna. Była to katorżnicza praca. Towarzyszyły jej bardzo dokuczliwe komary i charakterystyczne dla tych terenów małe muszki, które mimo *nakomarników* – ochrony na twarz – przedzierały się i wgrzyzały w spojówki oczu. Nieraz po twarzach kobiet płynęły strużki krwi.

Szantyr-Powolna dodaje jeszcze: „Droga, przy której budowie pracowałyśmy, miała łączyć Europę z Azją. Widoczne na mapie, kończące się w pobliżu morza pasmo Uralu – zielone pasmo – jest właśnie tym miejscem, z którego miał prowadzić budowany przez nas szlak. Jednak droga ta nie powstała, a przez nas została nazwana drogą donikąd”. Przypomina sobie jeszcze jeden ważny szczegół: „W obozie na Workucie w pewnym okresie byłam jedyną Polką. Dlatego zdarzało mi się wychodzić z baraku i deklamować wiersze, aby mówić po polsku”.

Zimą w Workucie panowały bardzo duże mrozy. Dochodziły do minus 70 stopni Celsjusza. „Muszę wspomnieć o pewnym zjawisku tam występującym. Ale nie o pięknie zorzy polarnej, która nieraz »wywoływała« nas z baraków, abyśmy mogły podziwiać piękno, które tylko w tamtym miejscu można było zobaczyć. Zjawisko, o którym chcę powiedzieć, było okrutne – to tak zwana *purga*. Jest to coś w rodzaju zamieci w straszliwym wydaniu. Początkiem *purgi* były spadające płatki śniegu, które stawały się coraz większe i osiągały nawet wielkość dłoni. Był to piękny widok, jednak potem pojawiał się wiatr, z czasem coraz większy – aż do tego stopnia, że nie słyszałyśmy się nawzajem. Aby się utrzymać na nogach, musiałyśmy trzymać się mocno za ręce. Czasem całe brygady, razem z konwojentami były zasypywane przez śnieg – *purge* – i dopiero wiosną, gdy lód odtajał, odkopywano zasypanych ludzi”.

Purga nie tylko zasypywała tory, ale powodowała, że trzeba było w niej wykuwać specjalne tunele, którymi mógł dojechać transport kolejowy. Śnieg był tak mocno zbity, że kobiety

Fot. ze zbiorów S. Szantyr-Powolnej



rozbijały go kilofami. Wbijał się przy tym w mokre – nakładane na *tielogrielki* i sięgające aż do kolan – *buszlaty*, które zamarzały: „Wyglądałyśmy jak kosmonauci. Nigdy, ani przedtem, ani potem nie słyszałam tylu przekleństw dotyczących rodziny, Boga, ojczyzny. Zwały śniegu naniesione przez atak *purgi* sięgały nieraz 6 metrów wysokości, zasy były więc bardzo wysokie. Ze względu na trudne warunki pracy tunele nie były zbyt szerokie, dlatego kiedy przejeżdżał pociąg lub lokomotywa, starałyśmy się przybliżyć jak najbardziej do ściany śnieżnej, by nas nie wciągnął. Niestety, zdarzył się taki przypadek, kiedy brygadierka została wciągnięta za spódnicę przez pociąg. Zginęła na miejscu”.

W 1954 r. Szantyrówna została przeniesiona do specjalnego, wydzielonego baraku („podobożu”), w którym grupowano osoby do zwolnienia. Któregoś dnia wywołano ją do biura i odczytano niezliczone ilości paragrafów. Następnie dano do podpisania dokument, z którego wynikało, że odąd

będzie stałą mieszkanką Workuty i obywatelką Związku Sowieckiego. Nie zgodziła się podpisać. Zagrożono jej wówczas nowym wyrokiem. Odpowiedziała, że wobec tego wróci tam, skąd przyszła, ale przedłożonego papieru nie podpisze. Po 55 latach wciąż doskonale pamięta ten moment: „Rzeczywiście musiałam wrócić do obozu. Dotąd w snach pojawia się obraz, w którym dochodzę do furtki, od której cofnięta jestem do obozu. Dotąd robi to na mnie przegromne wrażenie. Budzę się w nocy przerażona”.

Po tygodniu Szantyrówna została ponownie wezwana do biura. Znowu położono przed nią jakiś papier. Tym razem był to dokument potwierdzający, w jakim okresie przebywała na terenie Workuty. „Wówczas otworzyła się brama – wspomina – i wyszłam na długo oczekiwaną wolność. Tydzień, który spędziłam po cofnięciu do obozu, był bardzo trudny. Z jednej strony zastanawiałam się, nie byłam pewna, czy moja racja wygra, czy mnie tylko straszono. Wiem o tym, że wyrok można było otrzymać za jakąś błahostkę, na przykład za stwierdzenie, że film amerykański podobał się komuś bardziej niż radziecki; w obozie, w szpitalu przebywali profesorowie z wysokimi wyrokami za stwierdzenie, że technika medyczna u Niemców jest na wyższym poziomie, że dlatego korzystali z różnych dobrodziejstw niemieckiej medycyny. Dodatkowe wyroki wydawano bardzo często. Miałam więc przed sobą okrutne wizje. Przeżyłam to strasznie, być może dlatego moment wycofania mnie do obozu stale pojawia się w moich snach”.

Trudno nie zadać pytania, jak można wytrwać w wierze w Boga, żyjąc przez tyle lat w warunkach skrajnie wyczerpujących nie tylko fizycznie i psychicznie, ale także duchowo. Wielu przecież nie wytrzymało, załamało się, złorzeczyło. Jaka jest odpowiedź? – „Modliłyśmy się i dzięki temu relacja z Bogiem wydawała się bliższa i konkretna. Wiele osób się załamywało, twierdząc rzeczywiście, że nie ma Boga, że to jest niesprawiedliwość. Jednak my trwałyśmy

wspólnie na modlitwie. To nas umacniało w wierze i pewności, że na pewno Bóg nam pomoże. Byłam przekonana, nigdy nie zwątpiłam, że na pewno wrócę do kraju”.

Po odbyciu dziesięcioletniego wyroku Szantyrówna przestała być więźniem, ale stała się zesłańcem. Władze Workuty nie zezwalały jej – jak i wielu innym więźniom – na wyjazd. Strach był wielki, bano się nawet zapytać, czy ta sytuacja się zmieni. Takie pytanie mogło stanowić pretekst do ponownego aresztowania. „Znalazłam wtedy pracę w laboratorium przy jednej z kopalń. Dano mi nawet maleńki pokoić o szerokości wzrostu człowieka i wysokości trzech metrów. Otrzymałam z darów tapczan, na którym spałyśmy w poprzek we cztery”.

Któregoś dnia „Hanka” zaryzykowała i poszła do urzędu NKGB w Workucie. Powiedziała, że wie, iż Polacy mogą wracać do kraju na mocy specjalnego polsko-sowieckiego porozumienia. Błefowała. Wiedziała jedynie, że jest takie porozumienie, ale dotyczy ono Niemców. Komisarz w urzędzie powiedział, by zjawiała się za tydzień, a wówczas wszystko jej wyjaśni. Tydzień później – zaopatrzona w bieliznę na zmianę, chleb, kanapki, odprowadzona przez zażawione koleżanki, które spodziewały się najgorszego – poszła do gmachu NKGB. Usłyszała, że istotnie, jest możliwość powrotu do Polski, trzeba tylko nawiązać kontakt z rodziną, otrzymać od niej zaproszenie z zapewnieniem, że ktoś jest w stanie utrzymać „repatrianta”.

Po powrocie do małej izdebki powtórzyła koleżankom dobre wieści. „Oczywiście starałyśmy się nawiązać kontakt z rodzinami. Miałam kolegów, którzy już wcześniej nawiązali kontakt z Polską i korespondowali. Dlatego zgłosiłam prośbę, aby zamieszczono w prasie w Polsce ogłoszenie, że oczekuję na jakiś kontakt rodziny. Tymczasem moja mama otrzymała wcześniej informację z PCK, że ja zmarłam. Ale jak to serce matki, nigdy nie uwierzyła w tę wiadomość. W Gdańsku, na Wybrzeżu, moja mamusia przeczytała to ogłoszenie. Nawiązała kontakt z rodziną, która zleciła zamieszczenie tego ogłoszenia, a następnie ze mną. Dostałam wymagane zaproszenie. Wszystkie dokumenty złożyłam wraz z paroma innymi osobami w NKGB. Ale minął rok, zanim przyszło zawiadomienie o wydaniu pozwolenia na mój wyjazd do Polski”.

Wreszcie powrót. Wracali w kilka osób, które w tym samym czasie dostały zawiadomienia. „Polecieliśmy samolotem do Syktykwaru. Nie było innej możliwości niż samolotem – ze względu na tundrę nie było dróg dojazdowych. Tam otrzymaliśmy paszporty i pociągiem przez Moskwę ruszyliśmy do Polski. Był to czerwiec 1955 r. Kiedy dojechalśmy do granicy i zobaczyłam słup biało-czerwony, żołnierza w polskim mundurze, zaczęłam strasznie płakać. Były to chyba wszystkie łzy tłumione przez jedenaście lat. Wydawało mi się, że nie jestem już zdolna do płaczu, tymczasem strasznie szlochałam; tak że nie mogłam z siebie wydobyć słowa. Kiedy pociąg zatrzymał się w Terespolu i wszedł celnik, pytał o paszporty, widział, że coś się ze mną dzieje. Chyba nawet nie poprosił o paszport. Nie mogłam się uspokoić aż do Warszawy. Dopiero w Warszawie zawiadomiłam moją mamę o tym, że jestem w Polsce i przyjadę do niej na Wybrzeże. Do ostatniej chwili nie byłam tego pewna. Nasze spotkanie było niesamowite, ponieważ moja mama w pierwszym momencie mnie nie poznała. Dopiero gdy zawałam mamusiu..., a to już była staruszka siwiuteńka”.

Opowieść Stefanii Szantyr-Powolnej to świadectwo hartu ducha i ciała, wiary, dzielności, heroiczności, odporności psychicznej, które charakteryzowały dziewczynę z Wilna. Miała dwadzieścia lat, gdy została aresztowana. Jedenaście lat później wróciła, choć nie do swojego rodzinnego miasta – najpierw zamieszkała w Gdańsku (od lipca 1955 r.), a następnie w Warszawie (od 1962 r.). Rozpoczął się drugi etap jej życia, który stanowi potwierdzenie i rozwinięcie wszystkich jej cnót.

„Pracując w szpitalu w Workucie, »połknęłam chyba bakcyła« i wymarzyłam sobie, że będę lekarzem – będę ludziom pomagać. Będąc świadkiem śmierci kilku pacjentów-

Polaków, między innymi członka rodziny Ruszczyków, który zmarł na oddziale gruźliczym, czy innego Polaka umierającego na raka żołądka, który prosił o zawiadomienie rodziny – co staraliśmy się zrobić – dałam sobie słowo, że zostanę lekarzem. Kiedy wróciłam do Polski, miałam trzydzieści jeden lat. Powtórzyłam ostatni rok matury, bo zdażyłam jeszcze na tajnych kompletach zrobić małą maturę, i następnie dostałam się na studia medyczne. Dzięki temu, że była polityczna »odwilż«, słynny Październik '56 (jeszcze pamiętam, jak z okien gdańskiej Akademii Medycznej leciały książki do filozofii marksistowskiej i inne), po zdaniu egzaminu z chemii i fizyki dostałam się na studia medyczne. Nie mogę opisać, jak byłam szczęśliwa. W sali wykładowej chciało mi się krzyknąć z radości. Studia skończyłam z bardzo dobrymi wynikami (ukończyłam dwie specjalizacje, w latach siedemdziesiątych zrobiłam doktorat), w 1959 r. założyłam rodzinę, wyszłam za mąż za wspaniałego człowieka – Jana [Leona Jana Powolnego], mieliśmy dwoje dzieci (córeczka zmarła, mając dwa latka, syn został dyrygentem światowej klasy). Mąż już nie żyje. Mam pięcioro wnuków. Oprócz pracy lekarskiej, która mnie pochłaniała, nawiązałam kontakty z wszystkimi Łagiernikami”.

Stefania Szantyr-Powolna od 2004 r. jest prezesem Zarządu Głównego Stowarzyszenia „Łagierników” Żołnierzy Armii Krajowej. Urząd ten piastuje już trzecią kadencję – organizuje m.in. coroczne zjazdy, które odbywają się z udziałem członków stowarzyszenia z Białorusi, Ukrainy i Litwy, organizuje też potrzebną im pomoc. Czternasty rok redaguje „Kwartalnik Stowarzyszenia »Łagierników« Żołnierzy AK” – periodyk zawierający wspomnienia, aktualne informacje, poezję i historyczne opracowania tematów interesujących środowisko sybiraków. W ostatnich latach redakcja i przygotowanie pisma praktycznie są już tylko „na jej głowie”. Nawet żartuje sobie z tego, mówiąc, że stała się taką „Zosią-samosią”.

Pozostało jeszcze jedno pytanie. Jak po tak ekstremalnych przeżyciach można żyć, by nie nosić w sobie nienawiści – i to zarówno do tych, którzy byli reprezentantami władzy sowieckiej, jak i współwięźniów walczących o przeżycie? „Muszę powiedzieć, że kiedy oglądałam się do tyłu, nigdy nie pojawiło się we mnie jakieś ogromne uczucie nienawiści. A wówczas...? Była jakaś pogarda dla tamtej władzy, która nas otaczała. Cóż więcej? Na terenie obozu, w takich warunkach obnażają się charaktery. Tam można zobaczyć, jak ludzie skłonni są nieraz za kawałek chleba, za cieplejszy kąć wyrządzić krzywdę jeden drugiemu. Za odrobinę ciepłej strawy byli gotowi popełnić ogromne przestępstwa. Ale jednocześnie i tam widziało się ogromnie szlachetne, piękne charaktery, piękne cechy. Szukałam wartości u ludzi, na tym tle budowałam wiarę i siłę, by przetrwać. To chyba przysłańiało zło. Bardzo lubiłam śpiewać. Nawet chyba nie przypuszczamy, jak wiele siły mają w sobie pieśni. Jak konsolidują, podnoszą ludzkiego ducha. Nie potrafię opisać, co to jest za wewnętrzna siła, która daje podnieść głowę, daje spojrzeć na wszystko dokoła, jako coś, co przemienie, że to będzie za nami, że dotrzymy. Mnie nigdy uczucie nienawiści nie męczyło”.



Fot. P. Życiński